

Marolambo, dnia 17 października 1984 r.

*Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Maryja Niepokalana!
Drodzy Przyjaciele Misji Oblackiej na Madagaskarze!*

Już jestem w domu i mogę powspominać dobre chwile w Europie. Nie prowadziłem notatek ani statystyki, więc nie wiem, ile odwiedziłem parafii, rodzin, grup czy osób indywidualnych. Według mojej oceny przejechałem w Polsce ponad 8.000 km. Stąd wniosek, że do klasztoru powinien iść ten, kto nie lubi siedzieć w domu. Wiele osób już wyraziło swoje niezadowolenie z powodu zawodu, jaki ich spotkał. Jednakże ja nie byłem w stanie skorzystać ze wszystkich zaproszeń. Poza tym niemiłą niespodzianką zrobił mi kierownik poczty w Marolambo odsyłając wszystkie listy, które nadeszły do mnie w czasie urlopu listy do adresatów z adnotacją „adresat wyjechał”. Po prostu chciał dobrze, ale źle mu wyszło. Kiedy we wtorek po Wielkanocy spotkałem go w samochodzie jadącego z workami poczty z Ambinanindrano do Marolambo, prosiłem go, aby na drugi dzień wysłał człowieka z Marolambo do Ambinanindrano na mój koszt i dał mu przesyłki do mnie, gdyż bardzo zależało mi na tych listach. W drodze on nie mógł otworzyć worków. W Marolambo zrobił inaczej i ja nie miałem bardzo ważnych dla mnie informacji dotyczących moich spotkań, na przykład w Niemczech lub na Węgrzech. W Polsce potrzebne były telegramy i telefony. Przez to też chyba urwie się korespondencja z kilkoma osobami, skoro przeczytają, że z Madagaskaru wyjechałem. To dobrze i źle. Mniej obowiązków, ale też mniej wiadomości o misjach w Europie i mniej wieści z Polski na Madagaskarze. Wiele rzeczy kupiłem i dostałem, ale tylko niewiele z nich mogłem wziąć ze sobą do walizki. Reszta zostanie dostana w skrzyniach z Poznania.

Urlop przebiegł zgodnie z zaplanowaniem. Odwiedziłem naszych Dobroczyńców Oblatów w Mainz i Wiedniu. Wygłosiłem kazanie po esperancku w dwóch parafiach węgierskich i jednej włoskiej nad Adriatykiem. Przez dwa tygodnie zwiedzałem Rzym przy okazji robienia zakupów. Przelot z Paryża do Tananarywy odbył się bez problemów. Do Tamatawy przyleciałem jakimś przypadkowym samolotem przewożącym większy bagaż, przez co zaskoczyłem mieszkańców Biskupstwa. Uwierzyli mi gdy im pokazałem mój bilet lotniczy. Zacząłem oczekiwanie na współbraci, którzy mieli dotrzeć dwa dni po moim powrocie i zaraz mieliśmy wyruszyć na południe. Wierzyłem im, dlatego pierwszego tygodnia nawet nie dałem bielizny do prania. Na drugi tydzień już włożyłem do odpowiedniego kosza brudną bieliznę, ale spodni na zmianę nie miałem i musiałem chodzić w przepoconych. Współbracia przyjechali dopiero po dwóch tygodniach z powodu niespodziewanych deszczów i kłopotów z promami. Z tego powodu nie zdążyły na czas dwie rodziny z naszych misji jadące na roczny staż w ośrodku katechetycznym Antsiramandroso. Od razu powstały problemy związane z rzeczami błahymi. Przed wyjazdem na urlop w metalowej walizce zostawiłem bieliznę użyteczną na Madagaskarze. Do samolotu wzięłem tylko rzeczy potrzebne na podróż do Europy. Teraz w Tamatawie zostałem z trzema koszulami na dwa tygodnie, a w bezdeszczowym upale bielizna przepocona brudzi się szybko.

Po zrobieniu zakupów w sklepach w Tamatawie wyruszyliśmy do naszych misji i w ten sposób dnia 10 października odnalazłem mój pokój w Marolambo. Po odkurzeniu pokoju rozpakowałem swoje rzeczy i zabrałem się do wspomniania interesujących zdarzeń z urlopu. Niektóre nawet warto opisać. W każdą niedzielę byłem w innej parafii. Także i w inne dni tygodnia nie siedziałem w domu. Zaproszeń miałem dużo i w różnych stronach Polski. Byłem też na spotkaniu misjonarzy przebywających na urlopie zorganizowanym przez Urząd do Spraw Wyznań w Pałacu w Wilanowie. Tam mogłem spotkać misjonarzy ze wszystkich zakątków Ziemi, a także zwiedzić królewską rezydencję Jana III Sobieskiego. Sam pałac znałem od dawna, ale tylko z zewnątrz, gdyż przed prawie trzydziestu laty zwiedzałem królewski park w ramach spacerów nakazanych przez regulamin Seminarium Warszawskiego.

Wozilem ze sobą przeżrocza i zazwyczaj w czasie Mszy Świętej mówiłem o tradycyjnej religii Malgazy i zadaniach misjonarza, zaś potem, o ile warunki pozwalały, przy przeżroczach objaśniałem nasze życia codzienne. Nieraz zadawano mi pytania, były różne. Pewien chłopiec

zapytał mnie, czy na Madagaskarze są kartki na mięso. Pewna pani spytała, czy wracam na Madagaskar? Kiedy potwierdziłem, zdziwiona skomentowała to tonem pełnym oburzenia: „przecież to Murzyni”! Przykre, że ta szczerze życzliwa mi osoba popełniła dwa błędy. Na Madagaskarze ludzie mają skórę brązową, a nie czarną, więc nie są Murzynami, a poza tym należą do Kościoła Chrystusowego, w którym nie ma segregacji rasowej i Bóg za tych ludzi też zmarł na Krzyżu.

Przypadkowe spotkania ze współpasażerami w pociągu lub autobusie zaowocowały w wymianę adresów. Ciekawy jestem, czy tak nawiązana korespondencja okaże się trwałą. Ale nawet gdyby nie było tej korespondencji, warto było mile i szybko spędzić czas po podróży.

Niemile też wspominam problemy związane z aktualnie obowiązującym prawem dewizowym w Polsce. Powinienem wymienić na złotówki 35 franków francuskich za każdy dzień pobytu, a przecież byłem w Polsce ponad trzy miesiące. Tyle pieniędzy nie miałem. Poza tym na oficjalnej wymianie traci się dużo, ja zaś potrzebuję dewizy na Madagaskarze. Po informacji telefonicznej z Poznania zapłaciłem więc 105 FF za trzy dni pobytu w Polsce, dalsze 70 FF wpłaciłem za pieczętkę zezwalającą mi na wjazd do mojej Ojczyzny. Zaraz w Poznaniu otrzymałem zwolnienie z obowiązkowej wymiany zezwalającej mi na pobyt 90-dniowy w Polsce. Ostatniego z tych dziewięćdziesięciu dni wyjechałem z Polski przez Czechosłowację, ale na granicy nie omieszkało mi przypomnieć w formie zapytania, że skorzystałem z tego dobrodziejstwa. Proponowano mi staranie się o taką klauzulę w Paryżu, ale Konsul Generalny przyjmował interesantów tylko w czwartki, ja zaś w środę musiałem opuścić Francję, gdyż kończyła mi się wiza francuska. Przykro jest prosić o pozwolenie na wjazd do swojej Ojczyzny i za to jeszcze płacić.

Czterokrotnie byłem w Konsulacie Niemieckim w Paryżu. Nie miałem problemu z uzyskaniem wizy na czterodniowy pobyt w Niemczech, ale nieumiejętnie zacząłem załatwiać. Po raz pierwszy zapomniałem wziąć adresu Oblatów w Mainz, których chciałem odwiedzić. A gdy już otrzymałem wizę, musiałem opóźnić datę wjazdu i wyjazdu o dwa dni. Ale wszystko szło szybko. Także wejście do Konsulatu po jednej osobie było dokładnie rewidowane przez brygadę antyterrorystyczną. To zrozumiałe i o to do „antyterrorysty” pretensji nie mam.

Problemy miałem z czekami bankowymi, które otrzymałem na Madagaskarze. Okazało się, że nie mogę wziąć pieniędzy, jedynie przelać je na własne konto bankowe, a takiego w Paryżu nie miałem. Musiałem prosić o interwencję osobę, która mi je przesała przed wyjazdem na urlop. Uczyniła to bardzo chętnie, a przy okazji dowiedziałem się, jak można zaparkować samochód w niedozwolonym miejscu i nie zapłacić mandatu: włączyć światła awaryjne i iść niby szukać pomocy.

Podróż z Tamatawy przybiegła bez większych przygód, niewiele czasu straciliśmy przy przeprawach przez rzeki, za to dużo więcej przy dziurach na drodze z Mahanoro do Marolambo. Ale drogę zaczęli reperować.

Ale czas już skończyć wspomnianie, trzeba żyć rzeczywistością i zabrać się do obowiązków misjonarskich.

*Z serdecznym pozdrowieniem
w Chrystusie i Maryi Niepokalanej
O. Jan Sadowski, OMI*

PS. Mamusia straszyla swoją grymaszącą córeczkę chcąc zachęcić ją do zjedzenia obiadu: „zjedz, kochana, tę smaczną zupkę, bo jak nie będziesz chciała jeść, to zawołam kominiarza”. Ale córeczka nie przestraszyła się, tylko odpowiedziała: „A czy kominiarz będzie chciał ‘toto’ zjeść”? Mnie zaś ciekawi to, czego Ty, Młody czytelniku, się boisz: myszy? lwa? paska? strzykawki? przede wszystkim napisz mi, czy dobrze robi ten, kto boi się Pana Boga?